

Irlandzkie impresje - Gilbert Keith Chesterton

Pewien człowiek z północno-wschodniej dzielnicy tego miasta [Belfastu] powiedział mi, że na własne uszy słyszał jak pewna matka, chcąc odstraszyć swoje dzieci do jakiegoś stawu czy podobnie niebezpiecznego miejsca, powiedziała: „Nie idźcie tam; tam mieszkają mali papieże”. Kraj, w którym mówi się takie rzeczy, w porównaniu z Anglią wydaje się naprawdę – krainą Elfów.



Pewien człowiek z północno-wschodniej dzielnicy tego miasta [Belfastu] powiedział mi, że na własne uszy słyszał jak pewna matka, chcąc odstraszyć swoje dzieci do jakiegoś stawu czy podobnie niebezpiecznego miejsca, powiedziała: „Nie idźcie tam; tam mieszkają mali papieże”. Kraj, w którym mówi się takie rzeczy, w porównaniu z Anglią wydaje się naprawdę – krainą Elfów.

Gilbert Keith Chesterton

Irlandzkie impresje

Pewien człowiek z północno-wschodniej dzielnicy tego miasta [Belfastu] powiedział mi, że na własne uszy słyszał jak pewna matka, chcąc odstraszyć swoje dzieci do jakiegoś stawu czy podobnie niebezpiecznego miejsca, powiedziała: „Nie idźcie tam; tam mieszkają mali papieże”. Kraj, w którym mówi się takie rzeczy, w porównaniu z Anglią wydaje się naprawdę – krainą Elfów. Jeśli nawet nie wróżek, to przynajmniej goblinów. Jest coś czarującego w wyobrażeniu stawu pełnego tych dziwacznych stworzeń, z których każde nosi na głowie małą tiarę, lub dzierży w rękach kluczyki św. Piotra. Taka jest właśnie różnica między tym konkretnym okręgiem przemysłowym, a dowolnym angielskim okręgiem przemysłowym, w Manchesterze na przykład. Tam również mieszka niemało zagorzałych dysydentów; którym też musi zdarzać się włączać swe edukacyjne pogadanki w walkę z systemem reprezentowanym przez arcybiskupa Canterbury. A jednak absolutnie nikt, niezależnie od tego, jak bardzo byłby przeciwny Kościołowi anglikańskiemu, nie mówi swoim dzieciom, że jedno z okolicznych jezior stanowi łęgowisko goblinów arcybiskupów w sztybletach i ornatach. Można powiedzieć, że podobne dziwactwa mogą się namnożyć wyłącznie w wodzie bardzo zastałej. Cokolwiek o tym wszakże sądzić, prawdą pozostaje – wyjaśnijmy to sobie już na początku – że istnienia paradoksu, o którym tutaj mówię, dowieść można nawet na podstawie spraw bardzo banalnych, takich jak choćby zabobony. Protestancki Ulster wprost cuchnie zabobonem; i to właśnie ta nieprzyjemna woń, którą Belfast wyrzuca do atmosfery niczym wulkan, naprawdę odróżnia go od Birmingham czy Brixton. Osobiście jednak, zawsze dostrzegałem w przesądach także pewne pierwiastki

humanistyczne, a wręcz humanizujące; i naprawdę sędzę, że te wędrowne legendy o papieżu, stworzeniu tak niehumanicznym i nieznanym, jak król Archipelagu Ludożerców, pełnią rolę czegoś w rodzaju negatywnego folkloru. I tak samo powiedzieć można, na tyle, na ile to prawda, że ta kapitalistyczna prowincja odzyskała zarówno teologię, jak i mitologię. Gdziekolwiek myśli się zaś jeszcze teologicznie, tam istnieje szansa, że będzie się myśleć logicznie. Tak też ulsterski kalwinista może przypominać irlandzkiego katolika w stopniu większym, niż się zazwyczaj sądzi – a zwłaszcza, niż sądzi to on sam.

Ostatnimi czasy pojawia się coraz więcej ataków i apologii, obracających się wokół słynnej bigoterii Belfastu; a jednak, bigoteria wcale nie stanowi najgorszej cechy tego miasta. Wydaje mi się wręcz, że jest raczej jego cechą najlepszą. I to nie o niej mówię w pierwszym rządzie, gdy stwierdzam, że Belfast żyje we śnie. Inna – i znacznie poważniejsza – bolączka tej społeczności również wyrasta z religii; ponieważ z religii wyrasta ma niemal wszystko w historii ludzkości, a na pewno niemal wszystko w historii Irlandii. Za moment powiem więcej na temat samego tego intelektualnego zakorzenienia w teologii; na tę chwilę wystarczy stwierdzić, że tym, co odpowiada za najbardziej prominentne i praktyczne zło Belfastu rzeczywiście jest teologia, ale nie nawyk teologicznego myślenia. Doktryna; ale nie wiara. W zakresie, w jakim ulsterski protestant naprawdę wierzy, to bardzo miły człowiek; chociaż może nie aż tak miły, jak mu się wydaje. I tutaj właśnie zieleje przepaść; którą najprościej można opisać tak, jak uczyniłem to już wiele razy na różnego rodzaju debatach: że ewangelik zazwyczaj mówi o sobie „jestem dobrym protestantem”, podczas gdy katolik: „jestem złym katolikiem”.

Gdy twierdzę, że nad Belfastem dominuje marzenie senne, mówię to w sensie czysto psychologicznym; że coś wewnątrz umysłu przesłania sobą cały świat zewnętrzny. Nonsense ma moc większą nie tylko, niż zdrowe zmysły, ale również – niż zmysły jako takie. Obecna w głowie idea może zaćmić obecne w głowie oczy. Co najmniej kilku bardzo miłych i wartościowych kupców powiedziało mi, że w Belfaście nie ma nędzy. Nie mówili, że nędzy owej jest mniej, niż się zazwyczaj sądzi, czy mniej niż było, czy mniej, niż w innych, podobnych miejscach. Mówili, że nie ma jej wcale. Jako komentarz na temat Raju na Ziemi, czy Nowego Jeruzalem, podobne stwierdzenie byłoby nader interesujące. Jednak jako komentarz do ulic, po których przed kilkoma minutami

wspólnie przecież chodziliśmy, stanowiło ono tryumf najzwyczajniejszego w świecie obłąkania ludzkiej wyobraźni. Owi znakomici obywatele Belfastu przyjęli mnie z oszałamiającą wprost grzecznością i życzliwością; i bardzo nie chciałbym krytykować bardziej, niż to konieczne dla praktycznych potrzeb naszych ojczyzn. Sądzę jednak, że najpoważniej skrytykowałoby się ich postawę, gdyby powiedzieć, że nie rozumieją oni sensu słowa „krytycyzm”. Ubiorę to zatem w szaty przypowieści – całkiem niezłej, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wydarzyła się naprawdę. Otóż, gdy dowiedziałem się, że w Belfaście problem nędzy nie istnieje, wyraziłem opinię, że jego mieszkańcy najwyraźniej muszą mieć szczególne upodobania co do garderoby. Z pełną powagą zapewniono mnie, że jak najszczególniejsze. I tyle. Zostało mi niejasne poczucie, że noszenie koszuli i spodni przyozdobionych nieregularnie rozrzuconymi po całej ich powierzchni dziurami, stanowiło w tym mieście tolerowany przejaw modnisiostwa czy modnej ekstrawagancji. I na zawsze pozostanie ze mną, jako niewyczerpane źródło wewnętrznego zachwyty, wspomnienie, jak zaraz gdy współ z ojcami miasta wyszliśmy na schody prowadzące z hotelu na ulicę, podszedł do mnie najbardziej chyba obdarty z obdartych chłopców, jakich w życiu widziałem, aby prosić o drobniaka. Kiedy zaś dałem mu trochę pieniędzy, wspomniana wyżej ekipa szacownych kupców zmieniła się w sekundzie jakby w dziki tłum, skandujący: „Przestępstwo! Przestępstwo!” i pognęła go w dół ulicy. Mam nadzieję, że nie jest niczym niestosownym czuć tak wielkie rozbawienie na widok motłochu urzędników, który z taką determinacją przeganiał precz jedno, małe dziecko, jakby było brudnym kotem. W każdym razie: nie wiedzieli, co czynią; i, co chyba jeszcze gorsze, nie wiedzieli, że nie wiedzieli. Na pewno też nie zrozumieliby, gdybym próbował im powiedzieć, jaką związaną z owym dzieckiem legendę prawdopodobnie ułożono by po wszystkim w bardziej chrześcijańskich czasach. Szczelnie otula ona ego fałszywym kosmosem – tak, że po pewnym czasie człowiek nie zwraca już uwagi na jakąkolwiek krytykę płynącą ze świata zewnętrznego, nawet dla względów czysto światowych. Belfast wypada pod tym względem szczególnie źle, nawet w porównaniu do Birmingham czy Manchesteru. Lord burmistrz drugiego z tych miast może zupełnie nie znać się na malarstwie; zna jednak przynajmniej kogoś, kto się na nim zna. Tymczasem władze Belfastu potrafią maniakalnie prezentować jakiś brzydki bohomasz jako arcydzieło z tego tylko względu, że gloryfikuje Belfast. W Manchesterze, nikt nie postawiłby czegoś takiego w odległości rzutu kamieniem od pana Karola Rowleya. Kwestie estetyczne mało mnie w sumie

obchodzą; w kwestii etyki wszakże, prawidłowość ta jest jeszcze bardziej widoczna. Ludzie ci są tak bardzo odcięci od rdzenniejszych tradycji, że same ich przechwałki są dla nich poniżające; upokarzają się, kiedy próbują się wywyższyć. Przez myśl im nawet nie przemknie, że ich dziwne, wewnętrzne standardy wcale nie muszą podobać się komuś, kto patrzy na nie z zewnątrz. Pewien wielki pracodawca przedstawił mi kilku swoim najinteligentniejszym pracownikom; i skwapliwie składam niniejszym świadectwo, że w iluzje Belfastu wierzy się tam szczerze także wśród warstw uboższych. Wszystkie wszakże wysiłki, które podjęli wspólnie ze swym pracodawcą celem wyperswadowania mi, że współpraca z katolicką większością w ramach samostanowienia była dla nich absolutnie nie do przyjęcia, sprowadzały się do jednej kwestii, powracającej raz po raz niczym refren: „Nie pozwolimy, aby tacy jak oni mówili nam, co mamy robić”. I nigdy chyba nie przyszło im na myśl, że nie jest to najświetniejszy przykład jakiegokolwiek ludzkiej moralności; i że jeśli sędzić sprawę w kontekście pogańskiej *verecundiae*, chrześcijańskiej pokory, czy demokratycznej idei braterstwa, to po prostu wypowiedź snoba. Człowiek, którego oględziny staram się w tym miejscu przeprowadzić, niewinny jest podobnych dylematów; nie ma w nim nic ze skromności, nawet skromności obłudnej; nie tylko się wywyższa, ale sądzi także, że wywyższanie się stanowi objaw wyższości.

W tym właśnie punkcie nie da się, po prostu, uniknąć teologii – ponieważ nie da się uniknąć teorii. Chodzi bowiem o to, że nawet czysto teoretycznie owe dwie religijne atmosfery bardzo się od siebie różnią. Że różnice między nimi historycznie zakorzenione są w różnicach doktrynalnych, jest faktem niepodważalnym; w każdym razie jednak, korzenie ich zdają się sięgać bardzo głęboko. Istotą kalwinizmu stanowiła pewność zbawienia; istotą katolicyzmu stanowi niepewność zbawienia. Nowoczesną i materialistyczną formą pewności jest właśnie pycha; wiara, cechująca ludzi zamkniętych w wąskim kole identycznie myślącej, moralnej arystokracji. Prawda jest jednak taka, że obecnie poczucie wyższości stanowi nie tylko przyjemność, ale i doktrynę. Wątpię, czy protestanci tej skrajnej szkoły wierzą w pokorę nawet jako w ideał. Wątpię też, czy bardziej uczciwi spośród nich w ogóle próbowaliby twierdzić, że w nią wierzą. Można to łatwo dostrzec, jeśli porówna się toż sytuacją innych cnót chrześcijańskich; bo ta zdegenerowana forma kalwinizmu zdaje się proponować przynajmniej jakąś ich wersję, nawet jeśli niektórzy powiedzieliby, że to tylko per-

wersja. Nie da się zaprzeczyć, że purytanizm stanowi jakąś wersję czystości; nawet jeśli nam wydaje się tylko jej parodią. Filantropia to jakaś wersja miłosierdzia; nawet jeżeli w naszych oczach ledwie parodia miłosierdzia. Ale, jak kapitalistyczny ewangelicyzm długi i szeroki, nie ma w nim żadnego odpowiednika pokory; nawet jej parodii. Pokora nie stanowi ideału. Pokora nie stanowi nawet pozy. Brak jakiejkolwiek instytucji, przykazania, popularnego powiedzenia, wzoru czy ludowej opowieści, które mówiłyby ludziom o niebezpieczeństwach, łączących się z pychą ducha. Krótko mówiąc, mamy tutaj do czynienia z systemem i sentymentem, które jednoznacznie uznają zadowolenie z siebie za siłę; w kontrze do mocnej, chrześcijańskiej tradycji reszty kraju, która widzi w nim wyłącznie słabość. Współczesne konflikty społeczne w Irlandii mają charakter wybitnie moralny; nie tylko tam zresztą, ale na całym świecie. Anglia sama jest zakażona tą faryzejską słabością; z tym, że – jak napisałem – Anglia bierze większość spraw na śmiech, Irlandia zaś – na serio. Mieszkańcy Belfastu przedstawiali mi swoje miasto jako coś wspaniałego, unikalnego i bezkonkurencyjnego; i prawie że mieli rację. Istotnie bowiem, nigdzie, gdzie panuje w tym kraju nowoczesny industrializm, nie znajdzie się czegoś dokładnie identycznego; a jednak wojnę ową, która obecnie toczy się przeciwko panującej w nim religii arogancji, prowadzono już wcześniej, na znacznie poważniejszym polu. Można odnaleźć na mapie Europy inne jeszcze miasto, z którego ta teoria, widząca w hipnotycznym samozachwycie oznakę siły, zionęła pogardą do chrześcijańskiego świata; nazywa się ono Berlin.

Historycy wszystkich religii, żadnej religii zresztą też, mogą w końcu, jak sądzę, dojść do wniosku, że reformacja XVI wieku była w istocie niszczycielską i barbarzyńską burzą – podobnie jak prusactwo, najdojrzalszy owoc protestantyzmu. Niezależnie jednak od tego, wszystkich historyków powinien interesować fakt, że przyniosła ona pewne ciekawe i nader charakterystyczne skutki; które warto badać bez względu na to, czy nam się one podobają, czy nie. Jedną z jej cech zasadniczych zaś, w moim mniemaniu, była taka; iż wydała ona z siebie określone instytucje, które w bardzo krótkim czasie osiągnęły wielkie bogactwo i władzę; i które przez krótki czas cały świat uważał za niezwyciężone; lecz co do których cały świat szybko przekonał się, że są nie do przeżycia. Podobny los spotkał całą kalwińską teologię, której Belfast jest obecnie jedynym misjonarzem. Podobny los spotkał także cały przemysłowy kapitalizm, którego Belfast jest obecnie oblężoną i niemal zupełnie opuszczoną twierdzą. I jak stało się z Belfastem, tak też

stało się z Berlinem; a subtelny intelektualnie Prusak mógłby wręcz czuć się w pewien sposób oszukany nagłością z jaką świat przebudził się i dostrzegł niedoskonałości tego miasta; szybkością reakcji, która je zwyciężyła, tak krótko po tym, jak ogłoszono je niezwyciężonym. Tego typu rzeczy wydają się władać przyszłością; by za krótki moment należeć już do przeszłości.

Książka do pobrania na portalu Chesterton Polska